

Tomasz Merta: Solidarność i nagie interesy

Polsce potrzeba walki interesów, ale nie nagiej, lecz przystojnie ubranej i przez nałożony uniform skrępowanej – potrzeba zatem więcej solidarności i więzi. Potrzeba modernizacji, ale uszlachetnionej przez wspólnotowego ducha



Polsce potrzeba walki interesów, ale nie nagiej, lecz przystojnie ubranej i przez nałożony uniform skrępowanej – potrzeba zatem więcej solidarności i więzi. Potrzeba modernizacji, ale uszlachetnionej przez wspólnotowego ducha - przeczytaj fragment książki *Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane*, która ukazała się nakładem naszego wydawnictwa

Jakiś czas temu Krzysztof Kłopotowski podzielił się z czytelnikami swymi pomysłami na to, jak powinna wyglądać prawica w Polsce (*Nowy adres prawicy?*, „Życie”, 8-9 maja). Przede wszystkim powinna ona zatem wziąć rozbrat z Solidarnością. Po pierwsze dlatego, że prawicy nigdy nie po drodze z ruchem związkowym, który z natury rzeczy powinien ciążyć ku lewicy. Po drugie dlatego, że Solidarność nie jest niczym więcej jak tylko „bękartem komunizmu” – narodziła się jako ruch sprzeciwu wobec tej pokracznej ideologii, więc i sama musi być pokraczna. Po trzecie, kurczowe trzymanie się Solidarności prowadzi do utrwalania podziału na postsolidarność i postkomunistów, który jest mało adekwatny w stosunku do rzeczywistych sporów i kontrowersji życia politycznego w demokracji.

Nowa prawica powinna się uwolnić od solidarnościowego bagażu, bo inaczej zawsze będzie mieć fałszywą, solidarystyczną wizję świata. Tymczasem „solidarność społeczna to bękart totalitaryzmu”, absurd, który w normalnych czasach jest całkowicie zbyteczny. Krzysztof Kłopotowski nie ma tu żadnych wątpliwości: „W normalnych czasach nie jest potrzebna żadna solidarność, lecz naga walka interesów”. To ona, zdaniem Kłopotowskiego, była motorem napędzającym rozwój Ameryki („Naga walka interesów dała Ameryce taką dynamikę, że stała się najbogatszym państwem i przewodzi światu”) i to ona może przynieść ocalenie polskiej prawicy.

Recepta jest dość prosta i nieraz już przepisywana: zapomnieć o nieaktualnych podziałach, odwrócić sojusze z ostatnich lat, przyciągnąć kapitał postkomunistyczny, boć przecie kapitał zawsze ciąży ku prawicy, a potem ruszać do modernizacyjnego boju. Lecz nie można tego czynić w oparciu o „zdemoralizowanych robotników

związkowych”. Potrzeba pragmatycznych menedżerów i koalicji kapitału z prawa, z lewa i z zagranicy. SLD, osierocona przez nomenklaturowy kapitał, zejdzie na psy i będziemy żyli długo i szczęśliwie. No, ze szczęściem może się zapędziłem – ale z pewnością będziemy żyli bogato.

Tyle że chyba nie wszyscy. Bo w każdej grze – także grze interesów – muszą być zwycięzcy i pokonani. Istnieje co prawda rytualny sposób pocieszania, propagowany przez wyznawców wolnego rynku, zgodnie z którym, gdy bogatsi staną się jeszcze bogatsi, to siłą rzeczy będą musieli podzielić się swym bogactwem z biednymi. Zwiększy się ich apetyt na luksus i w ten sposób powstaną nowe miejsca pracy.

Ta koncepcja jest całkiem sensowna, tylko że jest nieprawdziwa. Bogatsi, owszem, mogą stać się bogatsi, ale w niczym nie zmienia to sytuacji biednych, co najwyżej wraz z rosnącym rozwarstwieniem rośnie poziom ich frustracji.

Całe rozumowanie Kłopotowskiego opiera się na przekonaniu, że prawicę można zdefiniować jako tę stronę politycznego spektrum, która opowiada się za wolnym rynkiem. W takim przypadku istotnie kapitał znajdowałby się zawsze po stronie prawicy, a związki zawodowe, reprezentujące pracę, a nie kapitał, musiałyby zasilać szeregi lewicy.

Kryterium wolnego rynku jest jednak bardzo zawodne – nie tylko w polskich warunkach, ale właściwie wszędzie (np. w Ameryce trzeba by uznać, że Patrick Buchanan ze swoimi poglądami powinien się w

szybkim tempie przeprowadzić na lewicę). Dlatego żaden poważny politolog nie proponuje, by tak właśnie odróżniać prawicę od lewicy, tym bardziej teraz, gdy lewica w dużym stopniu zaakceptowała system wolnorynkowy jako zbiór elementarnych reguł kierujących życiem gospodarczym i porzuciła utopię nacjonalizacji, centralizacji i planowania, a nawet uwolniła się od rojeń na temat trzeciej drogi.

Nawet w przeszłości jednak preferowano inne kryterium, sugerując, że centralną wartością dla prawicy jest wolność, podczas gdy dla lewicy – równość. I ono było zresztą zawodne, jako że nie ma żadnego powodu, by uznawać projekt lewicowy za z definicji antywolnościowy, ponadto zaś na prawicy nigdy nie brakowało myślicieli, dla których wolność nie była wcale wartością centralną. Nic dziwnego, że w tej sytuacji wielu publicystów uznało, że pojęcia „prawica” i „lewica” niczego już nie objaśniają i powinny zostać odesłane do lamusa.

A jednak te terminy w dalszym ciągu mogą stanowić całkiem poręczne narzędzie opisu politycznej rzeczywistości. Można na przykład odwołać się do propozycji włoskiego filozofa Norberto Bobbio, który proponuje, by jako należących do prawicy określać tych, którzy mają skłonność do uznawania różnic między ludźmi za naturalne. Z tego więc względu prawica byłaby niechętna do wprowadzania zmian, do wiary w możliwość powszechnego oświecenia czy równej dystrybucji bogactwa – skoro różnice są naturalne, niewiele można uczynić, by je zniwelować. Lewica z kolei postrzegałaby istniejące różnice jako skutki różnych procesów historycznych czy społecznych. Właśnie dlatego byłaby bardziej optymistyczna (lub, jak kto woli – naiwna) od prawicy, zakładając, że różnice nie będące dziełem natury, lecz człowieka, mogą zostać także przez człowieka wykorzenione.

Inna możliwość myślenia o prawicowości i lewicowości to porzucenie nadziei na wypracowanie jednego kryterium i uznanie, że prawicowość ma dwa wymiary: gospodarczy i społeczno-moralny i że te dwie płaszczyzny niekoniecznie muszą się ze sobą łączyć lub w różnym stopniu akcentować bądź wiarę w wolny rynek, bądź też obronę tradycyjnych instytucji i wspólnot.

Obok prawicy leseferystycznej, zauroczonej wolnym rynkiem, mogłaby istnieć inna – niekoniecznie przeciwna wolnorynkowej gospodarce, ale przywiązująca znacznie większą wagę do poczucia wspólnoty, podejrzliwie traktująca ostre oddzielanie etyki od polityki, broniąca tradycji, religii, obyczajów, strzegąca hierarchii w kulturze i edukacji. Ta prawica w żadnym razie nie wzdragałaby się przed pojęciem solidarności, jako że za coś oczywistego uważałaby powinność wspomagania słabszych członków wspólnoty przez silniejszych. Solidarność wspólnoty nie byłaby jedynie urojeniem, znajdowałaby bowiem mocne oparcie w tym, co jej członków łączy i w czym są do siebie podobni.

Owa homogeniczność wspólnoty, w imię której prawica gotowa byłaby kruszyć kopie, pozwalałaby odnaleźć uzasadnienie potrzeby działania na rzecz wspólnego dobra. Jednak pojęcie wspólnego dobra z najwyższym trudem mieści się w cyniczno-pragmatycznej konfliktowej wizji społeczeństwa, w której wszyscy ludzie kierowani są jedynie swymi egoistycznymi interesami, a polityka jest wojennym teatrem, w którym owe egoizmy wypróbowują swoją siłę i albo się wzajemnie moderują, albo też jeden z nich zwycięża. Tak właśnie normalność zdaje się postrzegać Krzysztof Kłopotowski.

Zauważmy jednak, że konfliktowa teoria życia społecznego nie jest jedyną, jaką można zaproponować (teoria funkcjonalistyczna ma również wielu zwolenników, a ostatnio nawet lepsze notowania), ani też najbardziej przekonującą. Jest o tyle mało wiarygodna, że w stopniu nieuprawnionym redukuje ludzkie motywacje, sprowadzając człowieka do *homo economicus*. Tymczasem bardziej sensowne byłoby chyba uznać, że ludzkie działanie może wynikać z bardzo różnorodnych źródeł – w tym samym stopniu, co interesy, ważą tutaj ludzkie poglądy i przeświadczenia.

Historię Ameryki istotnie można opowiedzieć jako przykład nagiej gry interesów, ale będzie to historia bardzo płaska i nieodparcie komiczna. Generał Lee kierował się raczej poczuciem honoru niż pragnieniem obrony interesów plantatorów, pastor King był przede wszystkim rycerzem sprawiedliwości, a nie jedynie obrońcą murzyńskich interesów. Wątpię też, aby naga walka interesów sprowadziła amerykańskie samoloty nad Belgrad.

Polsce potrzeba walki interesów, ale nie nagiej, lecz przystojnie ubranej i przez nałożony uniform skrępowanej – potrzeba zatem więcej solidarności i więzi. Potrzeba modernizacji, ale uszlachetnionej przez wspólnotowego ducha i konserwowanie wartościowych elementów narodowego dziedzictwa.

Upierałbym się też, że potrzeba Solidarności. Pomysł na prawicę neoliberalną został już kilka razy w Polsce przecwiczony: w wersji komicznej przez UPR, w wersji pragmatycznej przez gdańskich liberałów, w wersji uwrażliwionej przez Unię Wolności. Z jakimi skutkami, każdy

może ocenić sam – jest to droga prowadząca do marginalizacji prawicy, a w najlepszym wypadku do kilkunastoprocentowego poparcia wyborców. Absurdem byłoby, gdyby AWS zapragnął nagle odwrócić się tyłem do swoich wyborców i uraczyć ich taką dawką pogardy, jaką wyczytać można w tekście Kłopotowskiego. Gdyby wszystkie nadzieje zaczął pokładać w „koalicji kapitału” i odciążeniu postkomunistycznych menedżerów od SLD. Coś takiego – o ile w ogóle jest możliwe – zakładałoby daleko idące upodobnienie prawicy do SLD, bo tylko będąc podobnym, można zająć czyjeś miejsce na politycznej scenie.

Tylko jaka wtedy byłaby różnica, kto znalazłby się u władzy? Wybierając między SLD i AWS, można by zdecydować na podstawie rzutu monetą – oba ugrupowania byłyby w gruncie rzeczy nie do odróżnienia. Prawica, jeśli ma mieć jakiś inny, pozaliberalny sens, musi być solidarystyczna i wrażliwa społecznie – tak aby wyborca wiedział, że wybiera coś więcej niż tylko kolor portfela.

Osobne miejsce w tekście Kłopotowskiego zajmują uwagi na temat religii. Ze skomentowaniem ich mam niejaki problem, bo trudno odgadnąć, czy autor odnosi się do religii jako takiej, czy też do jej pozycji w życiu społecznym i politycznym. Kiedy na przykład autorytatywnie oświadcza: „Żadna religia nie ma monopolu na prawdę”, to jest to argument, za pomocą którego można tłumaczyć wycofanie się państwa z toczonych sporów religijnych, ale trudno byłoby to uznać za autodeklarację którejkolwiek religii. Z drugiej strony stwierdza, że „życia duchowego nie można oddać biurokracji wyznaniowej” i narzeka na brak na prawicy ludzi zdolnych do rzetelnej dyskusji religijnej. Zawsze myślałem, że wzajemna niezależność i autonomia religii i państwa, co do której przecież w zdecydowanej większości się

zgadzamy, oznaczają właśnie pozostawienie spraw duchowych w rękach „biurokracji wyznaniowej” (osobiście wolałbym nieco inny język, bo ten przypomina nieco dawne harce antyklerykałów) i niemylenie dyskusji politycznych z dyskusjami religijnymi. Dobrze by było, aby politycy w cichości swych serc rozwijali się duchowo, ale w życiu publicznym nie do tego zostali powołani. Życie duchowe pozostawmy zatem kapłanom i wiernym, a dyskusje teologom.

Tomasz Merta

Fragment książki Nieodzowność konserwatyzmu. Pisma wybrane, która ukazała się nakładem naszego wydawnictwa